

## NA STRAŻY

6

26. II. 1945

Szósty Biuletyn Wewnętrzny  
Związku Pracy dla Państwa

JEROZOLIMA

## NIE!

Uchwały „wielkiej trójki“, powzięte w Jalcie, stawiają sprawy tak jasno i niedwuznacznie, że reakcja na nie Polski musi być również jasna i niedwuznaczna. Wbrew zasadom Karty Atlantycznej, na którą powołują się kłamliwie trzej kandydaci na dyktatorów świata, wbrew obowiązującym normom postępowania międzynarodowego w sprawach spornych między państwami, nie będącymi w stanie wojny, wbrew zapewnieniom i obietnicom, wielokrotnie przez zachodnie demokracje w sprawie polskiej składanym, w jaskrawym łamaniu sojuszu polsko-brytyjskiego, zawartego w umowie z dnia 25 sierpnia 1939 r., — w sposób najbrutalniejszy, nie mający precedensu w historii świata, uchwalono piąty rozbiór Polski. Opierając się jedynie na przemoc, arogowano sobie prawo nominowania jakiegoś przyszłego „tymczasowego rządu jedności narodowej“, opartego bądź na obywatelach, obcych, bądź na notorycznych zdrajcach lubelskich, z udziałem innych, obecnie jeszcze z nazwisk nieznanymi sprzedawczyków, których ma się szukać wśród „demokratów“ w kraju i zagranicą. Zgodzono się na przeprowadzenie wyborów w najbliższym czasie w warunkach okupacji sowieckiej, — wyborów, których przedsmakiem były zupełnie analogiczne wybory, przeprowadzane w roku 1939 przez władze sowieckie we wschodniej połowie Rzplitej. Były one przecież ordynarnym oszustwem w stosunku do istotnej woli narodowej.

Pominięto milczeniem fakt istnienia legalnego rządu polskiego w Londynie, uznawanego dotychczas przez wszystkie sprzymierzone i neutralne państwa, opartego na obowiązującej Konstytucji i kierującego uporczywą i nieustępliwą walką Narodu Polskiego z niemieckim wrogiem od jesieni 1939 roku.

Wszystko to zrobiono decyzją jednostronną bez udziału rządu polskiego, wbrew oczywistej woli ludów, ziemie polskie zamieszkujących, zarówno Polaków, jak Ukraińców i Białorusinów.

Pod tym jedynym w swoim rodzaju dokumentem dziejowym, którym — jak to słusznie stwierdził premier Arciszewski — nie kto inny, jeno sojusznicy Polski dokonują aktu rozbioru naszej Ojczyzny, — obok podpisu

Stalina figurują podpisy Churehilla i Roosevelta, przywódców wielkich zachodnich demokracji, — oficjalnych chorążych ideologii wolności.

Ci to dwaj „szermierze“ wolności i demokracji, ci dwaj przedstawiciele najwyższej kultury współczesnego świata, dokumentem, opatrzonym swoimi podpisami oddają w niewolę najstraszliwszego z totalizmów 35 milionów obywateli polskich, szósty już rok krwawo walczących o swe elementarne prawo do niepodległego państwowego bytu, o swe elementarne prawo do wolności. Bowiem nikt nie może się ludzić, że w tych warunkach to, co zostanie z Polski po jej okrojeniu od wschodu — pod takim rządem i po takich wyborach, — będzie czymś więcej, niż jakąś tam kolejną z rządu republiką sowiecką, na terenie której obca i barbarzyńska władza zmiecie niemilosierzną ręką wszystko, co polskie z tradycji, ducha i kultury.

Nie próbujmy rozwiązać zagadki, w jaki sposób tak potworna, tak ohydna ugoda mogła dojść do skutku. Ugoda, na myśl o której każdy uczciwy obywatel Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych zarumienić się musi od wstydu. Siły zła, rozpętane w tej wojnie są tak straszliwe, upadek waloru obietnicy, słowa, uroczystego zobowiązania, poszanowania umów, dobrowolnie zawartych, — tak niesłychany, egoizm państwowy tak potworny, że od kłamstwa i oszustwa do zbrodni nie jest daleko.

Pomińmy również międzynarodowe znaczenie aktu krymskiego i jego międzynarodowe konsekwencje, bo o tym będziemy mieli okazję mówić na innym miejscu.

To, co stanowi doraźną naszą reakcją na uchwały krymskie, Polski dotyczące, wyraża się krótkim, twardym, stanowczym: **N I E!**

Dał temu wyraz rząd premiera Arciszewskiego w swojej oficjalnej enuncjacji. Dało temu wyraz wojsko, walczące we Włoszech i we Francji. Daje temu wyraz uchodźstwo we wszystkich swych skupiskach. Daje temu wyraz przede wszystkim Kraj, o czym posiadamy ściśle i wiarogodne informacje.

**N I E!** To znaczy, że Polska nie przyjmuje decyzji „wielkiej trójki“. Więcej — że jej się kategorycznie przeciwstawia imieniem całego 35-milionowego narodu.

**N I E!** To znaczy, że akt, opatrzony trzema podpisami potentatów tego świata uważa Polska za świsstek papieru o wartości nie większej, niż obecna wartość złamanej tutaj sławetnej Karty Atlantyckiej, za dzieło, które rzeczywistość polityczna w niedalekim czasie może rozwiązać w nicość, jak każde poczynanie, nie liczące się z prawdziwą realnością rzeczy.

**N I E!** To znaczy, że do ostatniego oddechu, do ostatniej kropli krwi będzie Polska prowadziła walkę, rozpoczętą w dniu 1 września 1939 roku o swą całość i o swą niezawisłość.

Wiedzą to dobrze nasi wrogowie.

Wiedzieć też o tym powinni nasi „sprzymierzeńcy“.

# Konferencja i uchwały „wielkiej trójki“

Wojna obecna, biorąca swój formalny początek w uderzeniu Niemiec na Polskę w dniu 1. IX.1939 r., rozpoczęta została przez Niemcy nie dla czego innego, a w celu gruntownej *przebudowy porządku świata* w myśl *zasad*, wyłożonych przez Hitlera na półkuli zachodniej, a następnie przez Japonię — na półkuli wschodniej.

*Wielkie Demokracje na czele z Polską przeciwstawiły zasadom tamtych państw zasady i hasła swoje*, które w pierwszym rzędzie sprzeciwiały się sprowadzaniu nie tylko narodów i państw, ale nawet i poszczególnego człowieka do poziomu... mierzy. Człowiek miał mieć zachowane swoje prawa — a przede wszystkim prawo do wolności, co w najszerszym pojęciu, zgodnym z wolnością innych, miało się mieścić w *hasle walki o zasady demokracji*. Tym bardziej miały wszystkie elementarne prawa do wolności zachować narody i państwa.

O tym, czyje *hasła*, czyje *ideały*, czyje wreszcie *zasady*, na których ma się opierać porządek świata — zwyciężą, miała — z woli Niemiec i Japonii — zdecydować *siła*. W pojęciu nadto Niemiec i Japonii właśnie *siła* miała zostać na zawsze tym czynnikiem, który miał trzymać przyszły i na ich sposób pojmowany porządek świata. Ona więc miała zdecydować o wiecznej niewoli narodów ewent. podbitych, które miały na zawsze służyć „herrenvolkom“. Siłę tej musiano przeciwstawić również *siłę*. *Totalnej niewoli przeciwstawiano zasadę powszechnej wolności w demokracji*. Z pokonaniem sił Niemiec i Japonii, ze złamaniem ich możliwie na długo jeśli nie na zawsze — siła Wielkich Demokracji miała również zejść z pola. Triumfować miały hasła wolności.

Nie licząca się z niczym totalna

walka Niemiec i Japonii o panowanie nad światem wtrąciła go w otchłań zbrodni i cierpienia. Wszystko jednak miała nagrodzić realizacja wiary w prostotę rozstrzygnięć po zwycięskiej wojnie. A wierzone nieodparcie, że zwycięstwo na polu walki odniosą Wielkie Demokracje i wraz z tym w życiu narodów i państw zatriumfują już na stałe ich *zasady i hasła*.

Wojna w Europie zbliża się ponownie ku końcowi. Wyznaczono już termin — jak się mówi — pierwszej pokojowej konferencji, na dzień 25.4.rb.

Jeśli więc mamy rozpatrywać w tej chwili uchwały konferencji w Jałcie — a twierdzi się, że jest ona wstępem do konferencji pokojowej —, tedy rozpatrzyć je musimy w dwóch płaszczyznach: 1) w płaszczyźnie osiągniętego czy osiąganego celu w dziedzinie *zasad i haseł*, — aby zdać sobie sprawę, *jakie hasła i jakie zasady* odnoszą triumf. Od tego bowiem jedynie zależeć będzie przyszły porządek świata — co znów stanowić będzie o pełnym zwycięstwie faktycznym, — i 2) jaki ma być ten porządek świata od strony materialnej — od strony więc zaspokojenia czy zabezpieczenia interesów wszystkich miłujących pokój i wolność narodów. Zastanowić się więc musimy i nad tym, jak zarysowuje się już teraz przyszła polityczna mapa Europy.

\* \* \*

Gdy przebiegamy myślą owe bez mała sześć lat wojny, możemy zarejestrować niesporny fakt: do dnia 22.VI.1941 r. odpowiedź na pytanie: *kto z kim się bije?*, była równocześnie odpowiedzią na pytanie: *kto o co się bije?* Jeśli można, a w dzisiejszej rzeczywistości, niestety, trzeba mówić o dwóch liniach podziału, to musimy stwierdzić, że do wymienionej daty obie te linie: a więc i ta, która

dzieliła świat na dwa obozy pod względem głoszonych haseł i zasad — jak też i ta, która dzieliła świat na dwa zbrojne przeciwstawne sobie obozowiska wzajemnie się zwalczające orężnie, — pokrywały się w zupełności ze sobą. Stanowiły więc w gruncie rzeczy jedną linię, która zawierała w sobie odpowiedź na wszystkie kwestie, trapiące ludzkość od dnia 1.IX.1939 r.

Od dnia 22.VI.1941 r. a więc od chwili, w której Hitler zmusił Rosję Sowiecką do walki przeciwko Niemcom, — wszystko się odrazu pogmatwało. Nie ma w tym jednak żadnego przypadku. Rosja Sowiecka już na długo przed wojną (jak to nieraz wykazywaliśmy) czyniła wszystko, aby wrazie konfliktu, o którego wybuch zresztą usilnie i podstępnie zabiegała, — *stać się stroną trzecią o własnych odrębnych celach*. Pozornie zaś zdawało się, że z natury rzeczy, powinna była właściwie należeć do obozu niemieckiego, tak jak w obozie tym znalazły się Włochy. I tu i tam przecież *totalizm*. Conajwyżej w ZSRR o wiele wcześniejszy, niż w Niemczech i o wiele bardziej pogłębiony.

Aby zrozumieć, co się stało i co, niestety, się staje, musimy się uciec do porównań i cofnąć się trochę w przeszłość.

\* \* \*

Naród niemiecki jest tego typu, że zazdrości innym nie tylko tego, czego sam nie ma, ale nadto uważa, nie dopiero od Hitlera zresztą, że inne narody nie powinny mieć tego, co mają lub chcą mieć Niemcy. Stąd, gdy Hitler pokazał mu miraż wyższości rasy niemieckiej nad innymi i obiecał rozkosze herrenvolku, — naród niemiecki prawie bez reszty poszedł za nim. A że od wieków lubi dryl i lubi maszerować, tedy zagadnienie przymusu, wbrew wszystkim na ten temat kłamstwom, nie wielką odgrywało rolę. Był to totalizm dobrowolny, zgodny z wolą i ambicjami narodu. W imię

pokazanego mu mirażu panowania nad światem, naród ten popełnił i popełnia dalej z najzimniejszą krwią zbrodnie na innych narodach. I nie pomogą tu nic tłumaczenia „dobrych Niemców“. Tej dobrowolności i świadomości zbrodni niczym nie obalą. Chciano „nowego ładu“, w którym wszyscy mieliby w niewoli służyć Niemcom.

Inaczej jest w Rosji Sowieckiej. Tam naród nie rozumie niemal nic. Tam wszystkie zagadnienia wewnętrzne a tym bardziej dotyczące stosunków z zagranicą rozstrzygane są od wieków w poświęście knuta. Naród rosyjski, którego ciągle prymitywna energia wyżywa się od sześciu wieków w podbojach, stale rozszerzających granice „nieobjętej Rusi“ — ciągle też żyje w stanie pielęgnowania w sobie wszystkich nabytych od Tatarów pierwiastków pędu do koczowania i do grabieży. Naród ten stanowi w praktyce bądź hordę półdziką gnaną na wschód lub na zachód, wolą swego każdorazowego władcy — zawsze satrapy, — bądź też mierzwę, pod przymusem użyźniającą rozległe stepy Eurazji, na których żyje, w gruncie rzeczy ciągle bez ludzkiego jutra.

Gdy więc o Niemczech można powiedzieć, że stanowią koszary, w których zawsze jednak poważna większość uważa, że odbywa uciążliwą może, ale ciągle szczytną służbę dla ojczyzny, — Rosja, od strony stosunków wewnętrznych stanowi poprostu olbrzymi przymusowy obóz koncentracyjny, gdzie ogłupiały, steroryzowany człowiek czyni, o co mu każe nakaz, płynący z góry, — od strony zaś stosunków z zagranicą, — olbrzymi obóz zbrojny, gotów w każdej chwili ruszyć w nakazany mu przez wodza-satrapę kierunku.

Niemcami ciągle rządzi mit konieczności opanowania świata, — Rosja mit barbarzyńskiego pędu i stałego rozrostu państwa, co przy chytrej

umysłowości jej władców — zmierza również, i nie od dzisiaj, do ogarnięcia świata pod władzę Eurazji.

Oba te totalizmy nie mogły iść razem. Oba bowiem zmierzają do tego samego celu. Oba chcą cel osiągnąć tylko dla siebie.

Gdy jednak totalizm Hitlera, poparty świadomą dobrowolnością narodu na ten kierunek — jest w swojej pierwszej fazie działania silniejszy, szybszy do zmobilizowania i uderzenia, — to jednak nosi w sobie zarodki słabości na dalszą metę: świadomość korzystności dobroci danego kierunku może się załamać, a że totalizm nie jest pogłębiony (np. prywatna własność) — tedy naród może pójść na inny kierunek.

Pogłębiony do ostatnich granic i wszystko ogarniający totalizm Stalina czerpie swoje siły przede wszystkim z powolnej każdemu rozkazowi zgóry bierności swoich poddanych. Jest więc może trudniejszy do rozkręcenia, ale za to bardziej długofalowy. Tu świadomości nie ma — a bierność swoją naród rosyjski, a on przecież ciągle jest czynnikiem decydującym w mozaice narodowej ZSRR — przełamuje, jak powiedział jeden z jego historyków — raz na czterysta lat: raz na czterysta lat wyłamuje się spod rozkazów swoich władców.

Gdy więc w totalizmie niemieckim, naród niemiecki jest bardziej winny wszystkich popełnionych zbrodni przez świadome i dobrowolne w nich uczestnictwo, naród rosyjski mniej ponosi winy za zbrodnie Stalina, ale totalizm stalinowski raz puszczony w ruch jest groźniejszy, niż totalizm Hitlera.

\* \* \*

Wielkie Demokracje przeciwstawiły się zasadom totalistycznym Hitlera, powiedziały swoje veto jego chęciom narzucania innym niewoli.

Stalin, traktujący siebie zawsze, jako czynnik trzeci — nieprzyjazny kapitalizmowi wogóle — a w totalizmie Hitlera widział galwanizację tego,

jego zdaniem, upadającego kapitalizmu — poparł nagle Hitlera. Bo Stalin pragnął za wszelką cenę wojny w „świecie kapitalistycznym“. Podstępny Gruzin deklamuje o pokoju (w czym nieudolnie zresztą naśladuje go dość często Hitler), a popiera wszystko, co mogło wojnę wywołać. Rokuje jawnie i skrycie z obu stronami, obu daje półobietnice. Kiedy jednak widzi, że stanięcie zdecydowanie po stronie Anglii i Francji (a one wojny nie chciały), mogłoby Hitlera zreflektować — i wojny nie będzie, — staje odrazu po stronie, która do wojny prze i zawiera sojusz z Hitlerem właśnie w dniu 23.VIII.1939 r.

*Nie inny dzień — a ten właśnie zdecydował o wybuchu obecnej wojny, nie kto inny, a właśnie Stalin ostatecznie popchnął świat do wojny.* Po tym już konsekwentnie poszły dalsze wyczyny. Nie leżało więc w interesie Stalina ewent. przedłużanie się wojny w Polsce. Mogło to Hitlera kosztować zbyt drogo, groziło zbyt dużym jego wyczerpaniem, a to znów, wedle obaw Stalina, mogłoby zrodzić niepożądaną chęć pogodzenia się Hitlera, na ten czy inny czas, z Zachodem.

*Stalin pomaga więc Hitlerowi po raz drugi* (pierwszy dnia 23.VIII.1939), uderzając na nas zdradziecko w dniu 17.9.1939 r. Wojna polsko-niemiecka ulega gwałtownemu skróceniu. Hitler ma wolną rękę do uderzenia na Zachód, a wzamian za to Rosja Sowiecka zaczyna realizować swoje zaborcze cele. Otrzymuje połowę Polski, trzy Kraje Bałtyckie, wolną rękę w Finlandii i w następstwie Besarabię i Bukowinę. Największy jej jednak zysk leży w tym, że Hitler walczy dalej, że Hitler musi walczyć dalej. Stalin może spokojnie czekać na koniec. Wierzy, że koniec będzie tak opłakany dla obu stron walczących, że on wtedy, mając siły nienaruszone, załatwi już wszystkich i wszystko po swojemu. To, co mówimy w tej chwili powtarzane było tak często, na prze-

strzeni tej wojny, udowodnione zostało tak jasno, że dziś już uchodzi za nudny truizm. Tylko szczególnie jest, że jednak prawdy tej nie widziały, nie umiały, czy wreszcie nie chciały widzieć Wielkie Demokracje. Zdawały się zapominać o tym, że po pokonaniu Hitlera czeka je niebezpieczeństwo ze strony drugiego, jeszcze groźniejszego totalizmu. O wiele lepiej doceniał to Hitler, który w dodatku, wierząc w swoje możliwości, nie zamierzał się dzielić owocami swego zwycięstwa ze Stalinem — i uderzył nań, aby go jeszcze przed końcem wojny zlikwidować.

*Rosja przymusowo — ze współnika wszystkich dotychczasowych zbrodni — staje się wrogiem Niemiec.* Mechanicznie zostaje przez Hitlera wtłoczona do obozu Sojuszników. Psychicznie ani przez chwilę nie wchodzi jednak do obozu Wielkich Demokracji, których hasłami gardzi i wyśmiewa je od dawna. Jeśli jednak deklamuje tymi samymi hasłami, które wczoraj zohydzała, — to ma w tym wszystkim zupełnie inny cel.

\* \* \*

Rosja Sowiecka zdaje sobie sprawę, że jeśli hasła Wielkich Demokracji, hasła wolności prawdziwej i prawdziwej demokracji, ostoją się — zamknie to jej drogę do tych wszystkich machinacji, które z tymi hasłami nie mają nic wspólnego. Co najwyżej więc Rosja osiągnie ten szczytny fakt, że obroni swoją własną wolność, taką, jak ją sama pojmuje, że, dalej, co najwyżej nikt się do niej wtrącać nie będzie, ale będzie musiała oddać to wszystko, co w gangsterskiej spółce z Hitlerem zagrabiła, i może nawet dość kosztownie naprawić wyrządzone krzywdy.

Stalin więc odrązu rozpoczął walkę z tym stanem rzeczy. Podjął, bo musiał, wojnę z totalizmem Hitlera, — ale *równocześnie pozostał w walce z tym wszystkim, co reprezentowały Wielkie Demokracje*, a z czym właśnie wal-

czył Hitler. Zachód dalej udawał, że tego nie widzi. Walczył tylko z Hitlerem i z Niemcami, a rzuconej mu oddawna zresztą rękawicy przez Stalina nie podjął. Bronił się przed Hitlerem — nie bronił się przed machinacjami Stalina. Stalin miał wolną rękę. Rozpętano niezwykle wprost propagandę na całym świecie za Sowietami. Pomagały w tym niezmiernie gorliwie same Wielkie Demokracje. Nie zauważały, czy nie chciały zauważyć, że propaganda sowiecka walczy zdecydowanie przeciwko samym pojęciom i wolności i demokracji. Stalin zasad zmieniać nie potrzebuje — nikt od niego tego nie żąda.

Stalin dobrze wie, że mimo krzykliwej oddawna propagandy, nikt w świecie nie wierzy w wolność i demokrację sowiecką. Wszyscy zaś wierzą w wolność i demokrację, głoszone przez Anglię i Stany Zjednoczone. Zdaje więc sobie sprawę, że im więcej sam deklamuje o demokracji, wolności i t. d., tym bardziej pojęcia te ulegają dewaluacji, tym bardziej są kompromitowane, lub nabierają zgoła innej i takiej, jak on chce treści. Mówi więc o demokracji dalej, ale równocześnie żądając z powodzeniem zatwierdzenia mu zaboru tak właśnie demokratycznych państw jak Estonia, Łotwa i Litwa, uzyskując zezwolenie na zgębienie tego wzoru demokracji, jaką była Finlandia — odrązu stawia pod pręgierzem wartość i wielkość hasła, głoszonego przez Wielkie Demokracje, bo właśnie ich rękami hasła te zabija. O zniszczenie zaś i skompromitowanie tych hasła i zasad najwięcej mu, jak mówiliśmy, chodzi. Rozumie to doskonale, że o to nikt nie będzie miał pretensji do niego, — a wszyscy będą wiedzieć, że wina zdrady wszelkich moralnych zasad, z jakimi poszły narody zachodnie i Polska do wojny, leży po stronie Anglii i Stanów Zjednoczonych. I o to znów Stalinowi chodzi. On zostaje w opinii publicznej

może złym, może wstrętnym, ale takim, jakim był. Kręactwo zaś leży po innej stronie. On ani na chwilę od swoich zasad nie odstąpił, stwierdza to na każdym kroku czynami. *Nie on więc, a zupełnie kto inny musiał przyznawać się wobec całego świata, że „wojna staje się coraz mniej ideologiczna“.* Istotnie, staje się — ale tylko po stronie Wielkich Demokracji. One straciły swoje *zasady*, one się swoich wczorajszych *zasad wyrzekły*. Stalin nie tylko niczego się nie wyrzekł, ale, co więcej, wszystkie swoje „zasady“ najuporczywiej realizuje i na tę jego działalność *bezideowe już demokracje dają mu swoje placet*. W ten sposób Demokracje zostały wysadzone z siodła. Nie mają nic już do powiedzenia — w dziedzinie idei. *Została im tylko siła*. I demokracje to widzą — więc *idą dziś jedynie na dogmat siły*. Nie potrafią już urządzić świata w imię jakichś ideałów kultury zachodniej. Chcą go urządzić *siłą*. I to jest zwycięstwo Stalina na froncie walki z Wielkimi Demokracjami. Stalin zawsze uznawał siłę — ale Stalin rozumiał również, że siła służyć ma tylko na to, aby mu pomóc urządzić świat po swojemu, urządzić w myśl jakichś *zasad*. *Siła i zasady* — choćby najgorsze, to dopiero moc. Sama siła — to słabość.

Na tem jednak nie koniec. Zohydziwszy wszelkie wczorajsze „wyższe“ pojęcia — stanowiące wyraz kultury zachodniej, Stalin rozpoczął walkę z „*mitem*“.

Do niedawna bowiem istniał mit, że wszystko, cokolwiek uczyniły Wielkie Demokracje w Teheranie, w konferencjach moskiewskich it.d. to tylko gra. I nie można się temu dziwić. Kiedy świat widział, jak beznajdziejnie wali się dziś wszystko to, w co dotychczas wierzył, jak cynicznie przekreśla się wszystko, co zostało osiągnięte pracą pokoleń i wieków, co szczególnie ostatnio, pieczętowane by-

ło hojnie przelewana krwią, właśnie za *wolność i za demokracje* — nie mógł uwierzyć, że wielcy chorążowie demokracji i wolności, za jakich uważał Churchilla i Roosevelta, mogą tak cynicznie przekreślać dorobek i wiarę pokoleń. Czepiał się mitu ich wielkości, która tak nisko upaść nie może, czepiał się mitu jakiejś obliczonej na daleką metę gry, spowodowanej rzekomo stałym szantażem Stalina, że może się z Hitlerem pogodzić.

Ten mit „autorytetów“ demokracji i mit „gry“ Stalin również postanowił bezwzględnie zniszczyć. Z dwóch powodów: 1) narody, poddające się tym mitom były oporniejsze dla poczynań sowieckich, albo szły na nie również z elementami „gry“, nieszczercze; aby ich więc poddać sobie niepodzielnie trzeba było wydrzeć im wszelkie nadzieje. 2) aby wykluczyć te możliwości „gry“, trzeba zniszczyć wszelkie autorytety, trzeba skompromitować „chorążych“ — i zostać na placu, jako jedyny autorytet — niezmienny.

My ze swej strony nie podzieliśmy już oddawna tego mitu „gry“. Mit ten wystawia tak poniżające świadectwo słabości Anglii i Stanów Zjednoczonych, że naprawdę trzeba by powiedzieć, iż narody anglosaskie nie warte są posiadania tych olbrzymich bogactw, które skupiły w swoich rękach, jeśli, nawet po osiągnięciu maksimum rozpedu swojej maszyny produkcyjnej, drzeć muszą na myśl, że zostałyby sam na sam z Hitlerem, panem porównawczo bądź co bądź biednych Niemiec. Sedno zagadnienia, zdaniem naszym leży gdzieindziej. Narody anglo-saskie tak „zatyły“ w dobrobycie, że nie lubią osobistego wysiłku. Urządzenie zaś świata według głoszonych do niedawna haseł, narażało by je niewątpliwie na duży wysiłek. Może nawet na poważny spór ze Stalinem. Lepiej więc po-

prostu narzucić pewien porządek rzeczy siłą. Uznać tę siłę, jako najwłaściwszy środek rozstrzygnięcia zagadnień, tym bardziej, że wtedy wystarczy być żandarmem na pewnej części globu — bo resztą zajmować się będzie i musi dwóch innych z „wielkiej trójki” — a nadto znajdzie zatrudnienie armia, o której w krajach anglo-saskich coraz więcej się mówi, że trzeba będzie ją po wojnie utrzymać, bo stanowi ona wspaniałą sposobność na rozładowanie w dużej mierze bezrobocia, a nadto jest niezmiernie chłonnym konsumentem.

Zobaczmy jednak, jak do rozwiązania mitów i do zniszczenia autorytetów zabrał się Stalin.

Nie jest dla ważne, jakim szantażem wszystko osiągnął, obchodzi nas fakt, że jednak zmusił Roosevelta i Churchilla do uznania Moskwy za Mekkę dyplomatyczną, zmusił ich do przyjeżdżania tam na narady, a przynajmniej w pobliże Moskwy, tak przecież odległe od Waszyngtonu i Londynu. Zmusił — a więc w pierwszym rządzie odarł z mitu siły. Wykazał wobec całego świata słabość Wielkich Demokracji. Słabość — zwłaszcza w porównaniu ze swoją stanowczością i przez samo przeciwstawienie — ze swoją siłą. Tym zaś, którzy mimo wszystko, jeszcze się łudzili — podał do wiadomości po Teheranie, po pielgrzymkach do Moskwy — uchwały konferencji w Jałcie.

Dokument ten nie nastęcza już żadnych wątpliwości. Jak zaś głęboko sięgnął przemożny wpływ Stalina, świadczy o tym sam styl uchwał w Jałcie. Kto zna styl różnych publicznych uchwał sowieckich, kto wyczuje się w bolszewickie enuncjacje, przeznaczone dla szerokiego świata, ten napewno zauważy, że redakcja wszystkich uchwał krymskich leżała bez reszty w rękach „dyplomatów” sowieckich. Uchwały zredagowane są

z taką azjatycką chytrą, że wyraźnie z nich bije tylko podłość.

Obok oddawania w niewątpliwą niewolę sowiecką Polski, Jugosławii i.t.d. (nad Krajami Bałtyckimi wyraźnie już trumnę zatrzęsnięto) — jednym tchem cynizm frazesów o Karcie Atlantyckiej; obok bombastycznych słów o demokracji, triumf współpracy i podziału świata na spółkę z najbardziej wynaturzonym totalizmem, z którym wymienia się najbardziej serdeczne komplimenty i na którym buduje się przyszłość narodów oddawanych mu na łup; obok zapowiedzi zlikwidowania wszelkimi sposobami i środkami totalizmu niemieckiego, najdalej idące poparcie dla rozkwitu w Europie totalizmu stalinowskiego... i pod tym wszystkim wreszcie obok podpisu Stalina, podpisy wielkich „chorążych” świata demokratycznego: Churchilla i Roosevelta. Zrozumiałe też, że zupełnie wypadły wczorajsze „frazesy”, na temat, że wojna toczy się o to, aby już nigdy siła nie mogła triumfować, że toczy się o prawdziwą wolność i t.d.

\* \* \*

Stalin osiągnął swój cel. Dziś może spokojnie powiedzieć światu: no i cóż warta wasza demokracja? Cóż warte są wasze kapitalistyczne potęgi? Może spokojnie powiedzieć również: przecież to, co się stało w Jałcie, to ani moja zasługa, ani moja wina. Volenti non fit iniuria. A przecież tych panów było dwóch — ja byłem jeden.

Jaż jestem straszliwie wyczerpany wojną, której ciężar w dużej mierze niosłem na swoich barkach. Ich siły, — anglo-sasów, — poza czysto materiałową, martwą więc substancją — nie zostały prawie naruszone. Ja, słaby — byłem sam; oni — potężni, byli we dwóch. Oni to mogli mi narzucić wszystko — a tym łatwiej mu to mówić, że właśnie takie a nie inne panuje przekonanie w świecie, zwłaszcza wobec nieuchronnej i szybkiej



już klęski Niemiec. — I narzucili to, co widzicie. Ja, zależny od dostaw, od przyszłej pomocy przy odbudowie zniszczonego kraju mego — podpisałem to, co oni chcieli.

Taka jest wymowy uchwał krymskich.

Nie tylko *zasady ale i autorytety* świata zachodniego zostały uchwałami konferencji w Jałcie zniszczone bezpowrotnie. W każdym razie autorytety Roosevelta i Churchilla. Ale wraz z tym nadszarpięte zostały poważnie i te wszystkie nadzieje, które wiązaliśmy, nie tylko zresztą my, z poczuciem godności i uczciwością narodów anglo-saskich.

Ta pustka ideowa, która tak jas-krawo zarysowała się na wszystkich terenach wyzwalanych przez anglosasów, ta bezradność, czym zastąpić likwidowany totalizm hitlerowski, czy inne ustroje „podhitlerowskie“ — dziś stała się przeraźliwa. Ale też stała się zrozumiała. Świat zachodni nie reprezentuje żadnych sił ideowych, świat zachodni zatracił dziś świadomość tego, o co walczy — i dlatego ratunku szukać chce w bezideowym dogmacie siły materialnej.

Ale tędy wojna zamienia się prosto w karczemną bijatykę, w której jedynym zagadnieniem jest — bandyckie: kto kogo?

Świat spodłał — i spodłał tak dalece, że potrafi się nawet ze swoją podłością obnosić publicznie, ba, twierdzić w dodatku, że tak właśnie najlepiej, najsprawiedliwiej.

I to jest dopiero właściwe zwycięstwo Stalina.

Równocześnie z tym, że na spółkę z Demokracjami Stalin odnosi dziś, zdaje się decydujące zwycięstwo nad Hitlerem, — odnosi już sam zwycięstwo nad tymi Demokracjami. Jeśli zaś jeden odnosi zwycięstwo, musi być druga strona, która przegrywa.

Po uchwałach w Jałcie, bez wzglę-

głędu na to, jakie tam sobie czynili wzajemne zastrzeżenia partnerzy co do podziału zagrabionych bezceremonialnie cudzych ziem i cudzych dóbr moralnych i materialnych — wiadomo, że świat otworem stoi tylko przed Stalinem. On jeden bowiem, pogrzebawszy wszelkie *autorytety zasad i osób*, potrafi tę podłość, która świat ogarnęła, zdyskontować.

Specjalnie zaś charakterystyczne jest to, że Hitler, któremu w swoim czasie Wielkie Demokracje powiedziały stanowcze veto w stosunku do jego dogmatu siły, dziś musi mieć olbrzymią „schadenfreude“ Powiedział kiedyś, że gdy on będzie padał, postara się o to, aby świat znalazł się w takim odmcie zła, z którego przez długi czas nie wybrnie.

Dziś Hitler nieuchronnie wstępuje do grobu — i nie ważne jest, czy jego to starania zdecydowały o tym, że świat rządzi się tylko podłością. My wiemy, że można było tego uniknąć i wiemy, że nie jego staraniom należy ponury obraz świata zawdzięczać, a tylko krótkowzroczności i egoizmowi Wielkich Demokracji, — faktem jest jednak, że jeśli uchwały krymskie nabiorą rumieńców życia, jeśli zostaną zastosowane w praktyce, Hitler będzie mógł śmiało powiedzieć:.. oto wielkie moje z zagrobu zwycięstwo.

Świat znalazł się istotnie w straszliwym niebezpieczeństwie.

*Siła, oparta jedynie o syty brzuch* — a tym tylko jeszcze wśród powszechnej rozpaczliwej nędzy mogą się szczyścić narody anglo-saskie — *może się nie ostać pod naporem głodnych i zrozpaczonych mas, zorganizowanych na zasadach, głoszonych przez Stalina.*

Tyle Jałta w odpowiedzi na pytanie: kto o co się bije?

Jak zaś Jałta urządzić zamierza geografiją polityczną Europy — rozważymy w następnym numerze. (oz)

---

*W związku z uchwałami w Jalcie i stanowiskiem rządu polskiego, Związek Pracy dla Państwa przesłał premierowi Arciszewskiemu następującą depezę:*

*„Stanowisko Rządu zawarte w oświadczeniu z 13 lutego br., powzięte po jednostronnym zadecydowaniu o losach Państwa i Narodu Polskiego przez trzy Mocarstwa, znalazło żywy oddźwięk w sercach naszych. Jest ono wyrazem naszej dumy i honoru, napawa wiarą w ostateczne zwycięstwo podstawowych zasad współżycia narodów europejskich, których głosu na tej konferencji nawet nie wysłuchano.*

*„Związek Pracy dla Państwa“ w Palestynie, widząc w oświadczeniu Rządu zdecydowaną wolę wytrwania na posterunku i nieustąpienia pod żadną presją, stwierdza, że wola ta jest wyrazem całego umęczonego Narodu Polskiego .*

*Związek Pracy dla Państwa*

---

## O C E L E W O J N Y

W toku wojny, w olbrzymim zmaganiu wydarzeń, przełomów wojskowych i politycznych, szalbierstw i oszustw dyplomatycznych, wśród rosnących apetytów tych, którym sprzyja szczęście wojenne i załamania partnerów, chwilowo słabszych, istotne cele wojny zagubiły się ostatecznie i to przede wszystkim w oczach kierowników politycznych Wielkich Demokracji. Wszakże Anglia i Francja w wykonaniu swych zobowiązań sojuszniczych wobec Polski chwyciły za broń w r. 1939, celem zgnięcia zaborczości każdego totalizmu, roszczonego sobie pretensje do panowania nad światem, a Ameryka od pierwszej chwili zajęła postawę jak najbardziej życzliwą dla wspólnej sprawy wolnych narodów, chociaż do czynnego udziału w wojnie przystąpiła dopiero po ataku japońskim na Pearl Harbour.

W rezultacie po pięciu i pół latach walki Francja została w znacznym stopniu wyeliminowana z gry politycznej i wojskowej, a ostatnie narady i uchwały krymskie praktycznie biorąc oznaczają oddanie przez świat demokratyczny całego Międzymorza Bałtycko-Czarno-

morsko-Adriatyckiego w niepodzielne władanie Rosji Sowieckiej.

Gdyby polityka, sformułowana na Krymie, miała być istotnie zrealizowana, oznaczałoby to przesądzenie o losie ponad 100 milionów obywateli dotychczas niepodległych: Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy, Polski, Czechów i Słowaków, Rumunii, Węgier, Bułgarii, Jugosławii. Jak by ten los wyglądał — wyobrazić sobie nietrudno. Wiedzą o tym coś nie coś ci z polskich uchodźców, którym udało się wyrwać z moskiewskiego piekła, — a przedsmak tego mają już ci wszyscy, którzy obecnie znaleźli się pod wojskową okupacją wojsk sowieckich we wszystkich wymienionych wyżej krajach. Jeśli zaś chodzi o oblicze polityczne tak zreformowanej Europy, to oczywiście nikt nie może mieć wątpliwości, że wszystkie te państwa zatraciły by swój byt samodzielny, a kolos moskiewski, połknąwszy ich rozległe terytoria, stał by się czynnikiem decydującym o dalszej historii całej Europy, więcej, o całej historii świata. To nie są puste frazesy, to nie są czarne przewidywania pesymizmu. Jest to obiektywna surowa

prawda, której przeczyć mogą jedynie ślepi i głusi na to, co się wokół nas dzieje.

Trzeba sobie jasno zdać sprawę, że wielkie zagadnienie kultury zachodnio-chrześcijańskiej, szczytnych hasel demokracji politycznej oraz wolności i godności ludzkiej jednostki wiszą dziś na najcieńszym włosku. Ze od wschodu Europy idzie czarna chmura, która zdążyła już ogarnąć swym mrokiem niewoli ponad milion kilometrów kwadratowych obszarów, zamieszkałych dotychczas przez wolnych ludzi. Apetytami zaś swymi sięga dużo dalej. Na swej drodze nie spotyka nadto nie tylko żadnego oporu, ale, wprost przeciwnie, wszystko, co dotychczas wydawało się jasnością dnia, cofa się w panicznym przestachu przed ponurymi zmorami nocy, wobec których czymże są najstraszliwsze zjawy Hunnów, hordy Dżingisa, jasyr tatarski, przesładowania religijne hiszpańskie lub terror Wielkiej Rewolucji francuskiej. I gdy pierwsza wojna światowa, lepiej czy gorzej urządzając oblicze świata, przecież w znacznym stopniu przyczyniła się do poszerzenia obszaru ludzkiej wolności, tworząc szereg państw niezależnych, które wcale nie najgorzej potrafiły zorganizować swoje polityczne, społeczne i gospodarcze życie, — i na dwadzieścia lat ustabilizowały stosunki polityczne Międzymorza, nigdzie nie doprowadzając do zbrojnych wystąpień, — to wojna obecna, gdyby uchwały krymskie istotnie miały obowiązywać, dałaby w wyniku poddania państwowemu i społecznemu terrorowi conajmniej olbrzymiej części Europy i to tylko w takim mało prawdopodobnym wypadku, gdyby Sowiety uznały, że tym stanem rzeczy są nasycone.

Okazuje się jak na dłoni, że figura polityczna Europy taka, jaka była wynikiem Wersalu, wobec zaborczości Niemiec i Rosji i przedziwnie krótkowzrocznej, fałszywej i tchórzliwej polityki Wielkich Demokracji, — musi być inaczej zarysowana. Pierwsza zrozumiała to Polska, ale nie brak dziś ludzi, nawet wśród wielkich polityków angiel-

skich, którzy umieją trzeźwo patrzeć w oczy rzeczywistości. A rzeczywistość stwierdza jak najwyraźniej, że zapewnienie ludom Środkowej Europy, a więc tym ludom, które się rozsiały między morzami Bałtyckim, Czarnym i Adriatyckim, — możliwości spokojnego rozwoju, niezależnego bytu, elementarnych wolności świata kultury współczesnej, możliwe będzie tylko wtedy, gdy siłę zaborczej — czy to zbójckiej potęgi Niemiec, czy barbarzyńskiego imperializmu moskiewskiego — będzie przeciwstawiona siła zwarta i zdecydowana — nie kogo innego, jak właśnie tychże samych bałtycko-czarnomorsko-adriatyckich ludów. Nie odległe sojusze z Francją lub z Anglią, których korzyści zresztą nikt nie kwestionuje, nie drobne bloki w rodzaju Małej Ententy, lub porozumienia bałkańskiego, sklecane dorywczo dla takich czy innych małoważnych zagadnień, nie systematy polityczne, kierowane zewnątrz dla celów egoistycznych, jak to było z francuskim systemem bezpieczeństwa w latach przedwojennych, ale własna wola obrony, własny dla tej obrony wysiłek w postaci zwanego bloku wielkich przestrzeni i olbrzymich mas ludzkich, — może dać jedynie ludom tym niezbędne dla ich normalnego życia bezpieczeństwo.

Blok taki, liczący zgórą 100 milionów ludzi, należących do młodych, prężnych, o silnej woli życia narodów, potrafi sam zapewnić sobie niezależność, a z drugiej strony zagwarantuje Europie spokój. Będzie to mur bezpieczeństwa Zachodu przed możliwymi zawsze wybrykami Wschodu, będzie to organizm wojskowo w wymiarach największych potęg świata, gospodarczo samodzielny, kulturalnie zdolny do jak najpiękniejszego rozwoju we wzajemnym poszanowaniu wszystkich swoich odrębności narodowych i etnicznych.

Jak wspomnieliśmy — Polska tę prawdę rzeczywistości politycznej zrozumiała już oddawna. To, co nazywano federacyjną polityką Piłsudskiego — ten właśnie cel miało na widoku. Nasze starania o

zacementowanie bloku bałtyckiego, nasz sojusz z Rumunią, przyjacielskie stosunki z Węgrami, współpraca kulturalna i gospodarcza z Bułgarią i Jugosławią dążyły do utrwalenia nie tylko dobrego sąsiedztwa i przyjaznych stosunków, ale również do wspólnego zrozumienia przez te wszystkie narody tej rzeczywistości geograficznej i politycznej, w której je los umieścił, — i w drodze tego zrozumienia zacementowania w jeden zwarty system całego Międzymorza.

Gdyby pokój mógł być trwać czas dłuższy, być może ludy Międzymorza doszłyby do dalekosiężnych decyzji w tym względzie. Dwadzieścia lat przedwojennych było najwidoczniej zbyt mało, aby tak olbrzymie posunięcie dziejowe dojrzało do rozstrzygnięcia. A to tym bardziej, że były siły, które albo przez swą krótkowzroczność, albo w obawie powstania zbyt silnego tworu politycznego stałe i systematycznie naszym poczynaniom przeszkadzały. A potrafiły przeszkadzać wcale skutecznie, co najwyraźniej widać na Czechosłowacji.

W rezultacie wszystkie te państwa, co do jednego, w wyniku obecnej wojny utraciły przejściowo swą niezależność. Jedne padły po bohaterskiej obronie, jak Polska i Finlandia, inne załamały się w krytycznych chwilach, a są i takie, które niesławnie poddały się bez próby oporu. Wszystkie doznały klęski, wszystkie ponoszą najkrwawsze ofiary.

Ale czasy obecne, chociażby najgorsze i najtrudniejsze, nie zamykają biegu dziejów. To, co dziś się dzieje, jest bardzo chwilowym etapem historii, a kalejdoskop wydarzeń idzie zawrotnym tempem. Jutro może być bardzo różne od dnia dzisiejszego.

W tym błyskawicznym tempie rzeczy dzieją się szybciej, niż w normalnych pokojowych czasach i procesy szybciej dojrzewają. Stać się może, że to, na co w zwykłym trybie przez dziesiątki lat czekać by trzeba było, zrealizować się może prędzej, niż by kto mógł przypuszczać. Są tego przykłady w historii, wy-

magającej często szybkich i wyraźnych decyzji.

Podobno Białorusini z naszych Ziemi Wschodnich mówią, że Polacy nie potrafili ich w ciągu 20 lat „opolaczyć“, a bolszewicy zrobili to w ciągu sześciu miesięcy.

Do szeregu sił, które mogą działać w kierunku uformowania wielkiego Bloku Międzymorza dochodzą właśnie w czasach ostatnich takie siły, których szybkość działania i skuteczność mogą odegrać bardzo poważną rolę. Tą nową siłą, tym nowym czynnikiem jest przede wszystkim polityka sowiecka w czasach tej wojny w stosunku do wszystkich omawianych tu ludów. Świeżo ogłoszone uchwały krymskie napewno znaczyć tu będą bardzo wiele. W ich świetle jedna rzecz jest zupełnie jasna — a prostota jej nie pozostawia nic do życzenia. Olbrzymie obszary Międzymorza, stumilionowa zamieszkała na nich masa ludzka pod jednym jedynym warunkiem potrafią się ostać między parciem niemieckim na wschód i południe a moskiewskim na Zachód i Balkany: pod warunkiem wytworzenia wspólnego systemu politycznego, który by łącznie z niezbędnymi sojuszami państw atlantyckich stanowił wystarczający czynnik siły, zdolny przeciwstawić się wszystkiemu, co by mogło zagrażać samodzielnemu życiu tej części Europy.

I to jest konkretny program, który stać się może, który stać się winien najważniejszym celem politycznym obecnej wojny. Ten właśnie program głosi już oddawna Polska ustami swoich najwybitniejszych polityków i publicystów. Ten program jest wyrazem naszego wojska, bijącego się we Włoszech. Nie chodzi w tej chwili o szczegółowy zarys ustroju tak budowanego organizmu. Zbyt jest jeszcze wcześnie na ustalanie jego budowy. To, co w tej chwili skonstatować należy, to to, że o ile kultura Europy ma się zachować, o ile słowo wolność ma posiadać jakiegokolwiek znaczenie, program ten musi dojrzewać w szybkich terminach. I tego rodzaju wy-

darzenia, jak konferencja „wielkiej trójki“ w Jalcie, przez to właśnie, że formułują stanowisko wręcz temu programowi przeciwstawne, — muszą wzmóc opór ludów, tęskniących do swobody i choćby się to mogło zdawać paradoksem, przyspieszyć zrozumienie i spowodować we właściwym czasie właściwe decyzje.

W tym rozumieniu rzeczy utajona w głębi dziejów ironia stwierdzi kiedyś, że zasługą definitywnego ustalenia celów drugiej wojny światowej w Europie trzeba będzie w Niemalęj mierze przypisać trzem panom, którzy w swych dyktatorskich zapędach tych celów nie widzieli, nie chcieli ich, przeszkadzali im, i przecież przyczynili się do ich realizacji. Gdy zaś cel będzie ustalony, realizację jego podejmą sami zainteresowani, bo zrobią to lepiej i rozumniej, niż zamorscy goście, dalecy wyspiarze, czy ponury satrapa curazjatyckich stepów. Nie będzie to robota łatwa i kosztować będzie, być może, dużo krwi ludzkiej. Ale dokonana być powinna.

#### ANGLIA I POLSKA W POLITYCE EUROPEJSKIEJ.

Pod takim tytułem ukazała się świeżo nakładem ruchliwej Sekcji Wydawniczej 3 Korpusu — wartościowa i bardzo potrzebna praca p. Jana Szuldrzyńskiego, autora dawniej wydanej „Dziejowej Idei Państwa Polskiego“.

To — o ile mi wiadomo — pierwsze tego rodzaju w literaturze polskiej studium historyczno-polityczne o stosunkach polsko-angielskich, — obejmujące okres 9 wieków, — możnaby najprościej scharakteryzować jako: uczciwe, sumienne oraz instruktywne (wychowawcze).

Jest uczciwe dlatego, że nie uprawia tak modnej dziś apologii ani też nie stawia „pod pręgierzem“. Omawiając wzajemne zainteresowania i kontakty (polityczne, gospodarcze i nawet kulturalne) oraz rozbieżności, nie schlebia Anglii i nie potępia Polski, ale stara się dać czytelnikowi uczciwy wgląd w bardzo złożony mechanizm „przyciągań i od-

pychań“ dwóch państw (morskiego i kontynentalnego) — o podobnych wprawdzie tradycjach wolnościowych, ale często odmiennych interesach.

Autor czyni to w taki sposób, na jaki pozwalały mu — tu w Palestynie — dostępne opracowania i materiały źródłowe.

Jest to studium sumienne dlatego, że na 280 stronicach bardzo skondensowanej pracy daje czytelnikowi bogaty materiał historyczno-polityczny, umożliwiający samodzielnie wyrobienie sobie sądu o stosunku Anglii do Polski bez narzucania gotowych sformułowań. Między innymi, pochlebnie świadczy o sumienności autora obfita bibliografia, podana na końcu książki, a która — o ile wiem — wylicza tylko ważniejsze pozycje, wykorzystane przez autora.

Jest to wreszcie książka instruktywna, gdyż nieobznajmionym z międzynarodowymi współzależnościami czytelnikom daje cenną lekcję praktyczną z dziedziny polityki zagranicznej, owej prawdziwej „wiedzy tajemnej“. Uczy ona znaczenia czynników gospodarczych „na giełdzie“ stosunków międzynarodowych, a zwłaszcza wykazuje konieczność jak najwyższej troski o prawdziwą siłę wewnętrzną państwa, jeśli minister spraw zagranicznych ma mieć głos decydujący w „międzynarodowych koncertach“.

Książka p. Szuldrzyńskiego, dzięki temu, że kładzie główny nacisk na objęcie całości stosunków anglo-polskich i na dostarczenie czytelnikowi jak najwięcej materiału do przemyśleń i wniosków praktycznych, nie jest — wskutek tego — łatwą w czytaniu. Bo też nie była ona pisana dla poszukiwaczy efektywnych literacko stylizacji w rodzaju Maurois'a, Strackey'a czy Ludwiga'a, symplifikujących często zbyt trudne i złożone problemy, — ale ma być i napewno będzie dla niejednego bardzo cennym podręcznym vade mecum w labiryncie historii polsko-angielskich stosunków, tym cenniejszym, że pierwszym tego rodzaju.

I jeszcze jedno. Nazwałem książkę p. Szuldrzyńskiego nie łatwą w czytaniu,

bynajmniej nie w sensie krytyki. Po pierwsze, czytelnik polski jest bardziej oswojony i niejako „nastawiony“ na indywidualne życiorysy, czy też opisy „pojedynczych“ zdarzeń historycznych, jak np. powstanie kościuszkowskie, listopadowe, styczniowe, Konstytucja 3-go Maja itd., a więc na studia, koncentrujące uwagę dokoła jakiejś głównej postaci lub faktu, gdzie łatwiej o skupioną i interesującą fabulę. Dlatego też czytelnikowi polskiemu nie jest łatwo przestawić się na studium z natury rzeczy luźnie treściowo związane, obejmujące do tego okres kilku wieków, — krótko mówiąc — studium wymagające intensywniejszego wysiłku umysłowego. Po drugie polska literatura naukowa oraz publicystyka w przeciwieństwie do angielskiej czy francuskiej — mają bardzo nie wiele tego typu prac, co studium historyczno-polityczne p. Szuldrzyńskiego, a więc nie dziwnego, że dla wielu czytelników stanowi ono pewne „novum“, które może nawet działać trochę obco.

Przyczyny, ujęte wyżej pod 1 i 2 będą napewno tłumaczyć większość przypadków nieporozumień pomiędzy autorem książki o Anglii i Polsce a czytelnikami.

Podkreśliłem wreszcie na wstępie, że uważam książkę p. Szuldrzyńskiego za nader potrzebną. Pragnę przez to powiedzieć, że dotychczas nie mogliśmy się doczekać takiej pracy na terenie Anglii, o ileż łatwiejszej do wykonania w oparciu o biblioteki londyńskie. Toteż fakt, że nie historyk zawodowy, ale prawnik (o żywych zainteresowaniach historycznych), pracujący do tego naukowo w niesprzyjających warunkach dał nam pierwszą poważniejszą syntezę polsko-angielskich stosunków, syntezę sumienną i uczciwą (rezultat kilku lat pracy) zasługuje na osobne i szczególne wyróżnienie. Nie streszczam też dlatego książki p. Szuldrzyńskiego, gdyż nie wątpię, że przeczyta ją każdy Polak, który chce sobie uzupełnić, czy pogłębić sąd o tym, jak doniosłą rolę może mieć do spełnienia w przyszłej Europie współpraca angielsko-polska. Nie potrzebuję też zapewniać, że książka p.

Szuldrzyńskiego toruje znakomicie drogę wzajemnemu zrozumieniu i jest cennym wkładem w budowie angielsko-polskiej przyjaźni.

Dr. Edward Kostka

#### RECENZJA CZY.....?

Recenzje bywają różne. Mogą do książki, o której mówią, zachęcać, mogą do niej zniechęcać. Zawsze jednak powinny być w pierwszym rzędzie uczciwe i zgodnie z prawdą omawiać treść książki. Uczciwość ta jest tym więcej obowiązująca tutaj na emigracji, gdzie powstanie każdej nowej polskiej książki połączone jest z niezmiernym trudem autora, który rzadko tylko popierany jest przez nasze władze materialnie. Uczciwość w danym wypadku, a mówimy o recenzji Juliusza Mieroszewskiego z książki p. Szuldrzyńskiego: Anglia i Polska w polityce europejskiej (patrz „Parada“ Nr. 4 (48) z dnia 11 lutego r.b.), była tym bardziej obowiązująca, choć, jak powiedzieliśmy, naszym zdaniem, winna obowiązywać zawsze, że p. Mieroszewski, funkcjonariusz jednej komórki Prapagandy Wojskowej, omawiał książkę wydaną nakładem (i decyzją, sądzimy, dobrze rozważoną) innej komórki tej samej propagandy. Mam wrażenie, że byłbym w wielkim kłopotcie, gdybym znajdował się na miejscu kierownika propagandy — i nagle zobaczył, że o książce, którą wydałem, pismo wojskowe — o największym nakładzie i choćby ze względu na obfitość „obrazków“ najbardziej poczytne w wojsku polskim, — zamieszcza recenzję, która pracę p. Szuldrzyńskiego stara się w sposób stanowczy dyskwalifikować. Na szczęście, kierownikiem propagandy nie jestem. Mówię, na szczęście, bo sprawa nie jest błahą, lepiej więc niech się nad nią głowi kto inny. A nie jest błahą dlatego, że recenzja p. Juliusza Mieroszewskiego nie jest uczciwa.

Jeśli bowiem autor recenzji pragnie przeprowadzić tezę, że „Anglię trzeba widzieć taką, jaką ona jest. Bo taką, jaką jest — jest naszym sojusznikiem i warta jest przyjaźni“ — to rów-

nocześnie nie potrzebuje, ani nie ma prawa imputować autorowi omawianej książki, że jego tezy są zgola odwrotne. Ja ze swej strony mogę dodać, że czy Anglia warta jest, czy nie jest warta przyjaźni naszej — dowodzą tego jej czyny, a nie takie czy inne nasze przekonania osobiste. Nie upadliśmy tak nisko, aby coüte que coüte trzymać się polity Anglii, choćby ona popierała nasze rozbiory, tak jak to czyni w np. Jałcie. Nie o to jednak chodzi. Pan Mieroszewski może mieć inne zapatrywanie na ten temat. Natomiast mówiąc o książce, trzeba mówić tak, jak dyktuje jej treść. Otóż właśnie treść książki jest taka, że mówi to wszystko, co mówi i p. Mieroszewski w swojej recenzji. Tylko, że pan Mieroszewski złośliwie, bo inaczej trudno to nazwać, przeinacza fakty i przypisując książce tezy inne, niż ona je posiada, stwarza sobie wymaginowane pole do dyskusji, — książkę dyskwalifikującą. Kiedy p. Szuldrzyński obiektywnie stwierdza w pewnym miejscu, że „Polska interesowała Anglię jedynie jako środek okazywania dobrej woli wobec Rosji“ — lub, że „Krótkowzroczny realizm kupiecki (Anglii) doprowadził (jej) oficjalnych reprezentantów do obojętności na losy Polski“ itd. — a biorę naumyślnie to tylko, co atakuje p. Mieroszewski — to nazywa to on emocjonalnym podejściem. Jeśli p. Mieroszewski czytać nie umie, niech się nie bierze do recenzji. Jeśli zaś czytać umie — a to raczej przypuszczam — niech robi recenzje uczciwie. Zaletą książki p. Szuldrzyńskiego jest właśnie to, że na dziejach stosunków polsko-angielskich — stara się wytłumaczyć polskiemu czytelnikowi tak bardzo dzisiaj zaniepokojonemu — właśnie emocjonalnie — o to, jak się Anglia w stosunku do nas i w stosunku do swoich dobrowolnie powziętych zobowiązań zachowa, — czego się może i czego się ma po Anglii spodziewać. Stara się właśnie wytłumaczyć, żeby Polak nie rządził się emocjami, a tylko dobrze pojętym interesem obu stron: Anglii i Polski, aby właśnie „na dziś“ rozumiał, że ten inte-

res może być bardzo rozbieżny, że może on być całkiem inaczej rozumiany przez Anglika niż przez Polaka. Ba, że jeśli nawet Polak, jak to często dowodzą dzieje, lepiej rozumiał interes wspólny: angielski i polski, to Anglik choćby błędził, błądzi w imię swego i po swojemu pojętego interesu. Jak zaś bardzo może być zbieżny interes państwa morskiego, jakim jest Anglia, z interesem państwa kontynentalnego, jakim jest Polska, dowodzi rok 1939, kiedy to Anglii włosy niemal stawały ze strachu, aby Polska czasem nie poszła z Hitlerem. Później Anglicy — nawet ustami Churchilla — przyznali, że dzieje wojny potoczyły by się inaczej.

P. Szuldrzyński w swojej pracy mówi wszystko to, brak czego, bądź czego zupełną odwrotność usiłuje mu przypisać p. Mieroszewski. Tylko p. Szuldrzyński, właśnie nie przybierając nigdzie, gdy chodzi o stosunki polsko-angielskie, emocjonalnego tonu, daje o wiele lepiej to wszystko, o co się tak martwi p. Mieroszewski, bo daje na pracowicie zebranych faktach, a nie tylko na zarozumiałym i w dodatku całkowicie wypaczającym treść książki, — mentorstwie.

W wartościowej książce p. Szuldrzyńskiego jest jeszcze jedna rzecz, która być może nie podoba się p. Mieroszewskiemu, ale to już jest kwestia zasad i poczucia godności. Pan Szuldrzyński tłumaczy polskiemu czytelnikowi, że tylko wtedy, kiedy Polska potrafiła się zdobywać na samodzielną politykę, kiedy brała czynny udział w nurcie tworzącym rzeczywistość europejską, kiedy była podmiotem stosunków międzynarodowych, wtedy tylko z nią się liczone, wtedy Polska „warta była przyjaźni Anglii“. Kiedy za traciła swój nurt niezależny, i kiedy popadała w obcą zależność, choćby nawet nie traciła jeszcze prawdziwej niepodległości, czy choćby jej pozorów, wtedy przestawała się liczyć. Autor pracy „Anglia i Polska“ — stara się wytłumaczyć czytelnikowi, że na rynku międzynarodowym liczą się

tylko te siły, które naród i państwo jest zdolne dać z siebie samoistnie. I właśnie chce, aby czytelnik nie miał pretensji do Anglii — a aby szukał, aby bronił tej pozycji Polski, w której Polska jest podmiotem międzynarodowym, a nie przedmiotem, bo przedmiot jest tylko do sprzedaży. I z tego niewątpliwie wynika jasno teza, że w samodzielnej polskiej polityce „Anglia tyle jest warta — ile warta” nic więcej. Nie powinna być warta czegoś coúte que coúte — bo tędy właśnie tracimy a nie zyskujemy. Tędy się okłamujemy, a nie patrzymy na świat realnie — tędy przychodzą rozczarowania takie, że prowadzić mogą do załamania. Tędy silniej odczuwamy t. zw. „niesprawiedliwość“ Anglii w stosunku do nas. Kto zna naszą „niefilozoficzną

politykę“ — łat ostatnich i kto przeczyta książkę p. Szuldrzyńskiego, Jałta dla niego pozostanie ciosem, ale nie tak emocjonalnie przykrym, jak to się dzieje dzisiaj, kiedy wielu, wielu Polaków, opierających swoją politykę i nadzieje, na wierności obcym, na służbie powolnej ich żądaniom, nie rozumie tym bardziej Anglii, nie rozumie własnego interesu, często może tak z interesem Anglii rozbieżnego. I tego właśnie uczy praca p. Szuldrzyńskiego. Nie należy więc okłamywać publiczności dlatego tylko, że p. Szuldrzyński — uważając napewno, że Anglia jest warta naszej przyjaźni — traktuje to jednak nie emocjonalnie i nie służalczo, a chce, aby Polak rozumiał, że jednak nie jest warta więcej, niż jest faktycznie.

Zdzisław Miłoszewski



Jeden z fragmentów pochodu protestacyjnego przeciw uchwałom „wielkiej trójki“, jaki miał miejsce w Jerozolimie w dniu 18 bm. Pochód nie był urządzany przez jakąkolwiek organizację a zrodził się spontanicznie wśród byłych żołnierzy. Żołnierze ci właśnie, którzy oddawali swoje zdrowie i leli swą krew nie tylko za Polskę, ale na wszystkich frontach obecnej wojny „za naszą wolność i waszą“ — dziś protestują przeciwko usiłowaniu nowego rozbioru Polski i pytają: Za cośmy walczyli?